

Powieść inspirowana  
prawdziwymi wydarzeniami

# Honezeński dziwak

BARBARA  
STAROŃ

Rebelle   
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Barbara Staroń  
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde  
Leszno 2026

All rights reserved  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta językowa:  
*Justyna Szymkiewicz*

Korekta po składzie:  
*Ewelina Dobosz, Kamila Polańska*

Przygotowanie okładki i oprawa graficzna:  
*Justyna Knapik @hermetycznie\_zamkniete*

Skład i przygotowanie ebooka:  
*Michał Bogdański*

Wydanie I

ISBN: 978-83-68916-00-3

  
WYDAWNICTWO

# Honezeński dziwak

BARBARA  
STARON

Rebelde ♡  
WYDAWNICTWO

*Wszystkim tym,  
którzy doznali w życiu cierpienia.*

*Ból jest bezmierny.*

*Ból jest odwieczną zagadką.*

*Choć trudno go zrozumieć,  
prawdą jest to, że kształtuje człowieka.*



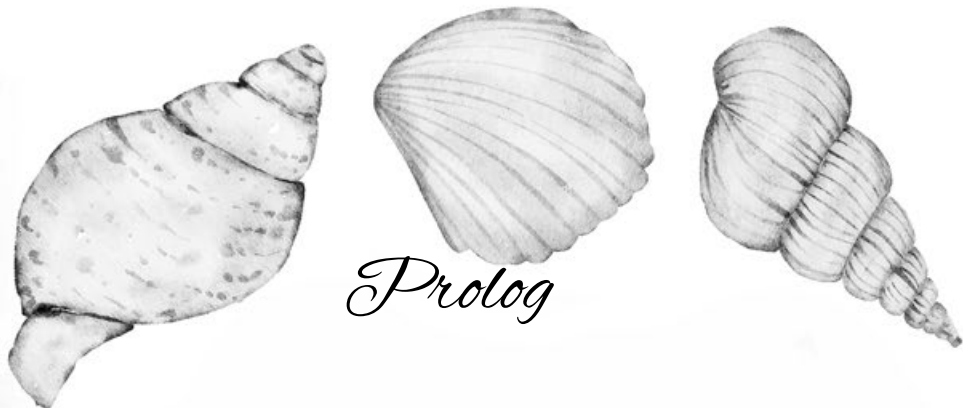


## *Przedmowa*

Drogi czytelniku,

trzymasz w dłoniach powieść poruszającą najboleśniejszy temat, jakiego przedstawienia dotychczas się podjęłam. Oddaję Ci historię, której opowiedzenie nie było proste. Przyznanie się do cierpienia nigdy nie jest proste. Na kartach tego woluminu fikcja łączy się z prawdziwymi wydarzeniami. Wydarzeniami pochodzącymi z mojego życia.

Nieszablonowa historia Cadence i Larry'ego dojrzewała we mnie przez wiele długich lat, lecz finalnie nadszedł czas, w którym poczułam, że powinnam ją spisać. Tak więc spisałam, a teraz powierzam ją Tobie.



## Prolog

KWIECIEŃ 2021  
CERBÈRE, FRANCJA

Wodzę ostrożnie palcami po płótnie. Z namysłem muskam opuszkami wypukłość czarnej pasty malarskiej. Sunę nieśpiesznie w dół, ku pochyłej szarej linii. Fragment pigmentu wdziera się pod moje zadbane paznokcie, a powietrze przecina specyficzny zapach oleju roślinnego. Przysmykam ciężkie powieki i bezwstydnie napawam się wonią niosącą ze sobą falę porywających wspomnień, wrytych głęboko w moim sercu.

Wracam myślami do pierwszych wakacji spędzonych we Francji. Z radością rozpamiętuję spacer po stromym urwisku. Żdźbła polnej trawy łaskoczące policzki. Doskonale pamiętam orzeźwiający aromat morskiej bryzy, jak również chłodne fale podmywającego stopy Morza Balearskiego. Przechowuję w pamięci brzmienie szarpanych przez wichher dzwonek wietrznych i irytujące skrzywienia wiekowej sztalugi malarskiej. Nigdy nie zapomnę subtelnych pociągnięć miękkiego włosia pędzla wokół linii ust oraz delikatnego dotyku ciepłej dłoni ujmującej moją.

Zatrzymuję palce w prawym dolnym rogu płótna i otwieram oczy.

– Larry... – szepczę. – Mój wojowniku. Mój honezeński szumie fal. Jesteś tu dziś dla mnie, a ja jestem tu dla ciebie.

Odrywam rękę od obrazu i opieszale przykładam dwie opuszki do drżących i wilgotnych od łez warg. Po krótkiej chwili ponownie zbliżam je do atramentowych liter, rozplywając się w uśmiechu.

– Cadence, już czas!

W milczeniu podrywam się z parkietu, na którym przykucnęłam. Wierchem dłoni osuszam mokre policzki, flegmatycznie przeczesuję palcami podkręcone, obficie spryskane lakierem włosy i wygładzam zagniecenia na materiale bladuróżowej sukienki z motywem wyszywanych, drobnych, białych różyczek. Ostatni raz obejmuję spojrzeniem płótno, a wkrótce potem podnoszę je i podążam w stronę drzwi.

Pokonuję korytarz przepelniona szczęściem, zza którego momentami wychyla się stres.

Przystaję u szczytu betonowych schodów. Z dozą lekkiej niepewności spoglądam w dół. W kierunku tych wszystkich ludzi wyczekujących mojej obecności. Przesuwam nieśmiało wzrokiem po nieznanym i znajomym twarzach do czasu, aż go dostrzegę. Jest tam i czeka na mnie. Mój Larry tam jest. Mój honzeński dziwak jest tam...



## Rozdział 1

*Wystarczy nieobecność jednej bliskiej osoby,  
aby cały świat wydawał się wyludniony.*

Alphonse de Lamartine

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ  
CASTLE VALE, BIRMINGHAM

Najpotężniejszym z cierpień, jakich zaznać może dziecko, jest nienawiść okrutnie wyzierająca z oczu osób, które zaprzysięgły mu miłość.

Przenikliwy łoskot odbijającego się od ceramicznych kafli czerwonego niekapka przerywa panującą wokół ciszę.

– Zadowolona z siebie jesteś?!

Teatralnie wznoszę oczy ku sufitowi w diabelnie ciasnej kuchni.

– Mówię do ciebie! Cadence! – burczy z silnie francuskim akcentem rozeźlona mama, schylając się po kubeczek.

– Przecież słyszę...

– Zadowolona z siebie jesteś? – ponawia pytanie, odstawiając ostrożnie niekapek na stos piętrzących się w zlewie brudnych naczyń.

– Nie rozumiem, o co tyle hałasu – odwarkuję nieelegancko, dociskając biodro do białej ściany pogryzmołonej kredkami.

– Jak to o co? Jak to o co? O to! – Wskazuje drżącym, cherlawym palcem na stół. – O twoje świadectwo! O te marne oceny! O wynik egzaminu! – podnosi głos, starając się przekrzyknąć wrzeszczącego skrzekliwie Victora,

jednego z dwuletnich bliźniaków, który próbuje wydostać się z krzeselka do karmienia. Bierze go na ręce i umiejętnie sadza na biodrze, kładąc kres przerażającej kakofonii dźwięków odbijających się od drewnianej tacki, maleńkich piąstek i plastikowej miseczki.

– Myślałam, że najważniejsze jest to, abym zdała – mówię pośpiesznie. Nieco zbyt pośpiesznie, jednocześnie wbijając spojrzenie w jej mizerny profil.

Naciągam rękaw czarnego kardiganu aż po knykcie i impulsywnie przygryzając paznokieć, wodzę wzrokiem za wolną dłońią mamy. Leniwie ściera wilgotną gąbką pozostałości jogurtu jagodowego z tacki krzeselka.

– Zdałam, to nie wystarczy? – pytam przez zęby, w dalszym ciągu miażdżąc nimi wierzch paznokcia.

– Nie, nie wystarczy – odparowuje, ze złością odrzucając gąbkę obok zlewu. Z dozą zbyt przesadnej ostrożności stawia Victora na podłodze i wdychając przeciągle, obraca się w moją stronę. – Z takimi ocenami nie masz szans na dobre studia. Jak tak dalej pójdzie, prawdopodobnie w ogóle nie dostaniesz się na żadną uczelnię.

– Nie chcę studiować, mówiłam ci już o tym – przypominam, odprowadzając wzrokiem brata niezdarnie przebiegającego przez drzwi.

– Dobry Boże, Cadence! – furczy, podchodząc do stołu z płócienną ścierką w dłoni. Ciska ją na leżące na podniszczonym blacie moje świadectwo ukończenia *secondary school*. Zaciska dłonie na oparciu pobliskiego krzesła i przechyla się przez nie. Jej piękne, choć nieco zaczerwienione sarnie oczy, pod którymi malują się przerażające cienie, kierują się na mnie. – Codziennie walcujemy ten temat. Ile razy mam ci powtarzać to samo? Ile razy?

Wyciągam z ust kciuk i opuszczam wzrok, nie mogąc znieść rozczarowania malującego się na jej bladej twarzy.

Zawieszam spojrzenie na prostej obrączce na lewym palcu serdecznym mamy. Pod nią znajduje się skromny złoty pierścionek z maleńką błękitną cyrkonią. Skupiam uwagę na czymś błahym, po raz kolejny w swoim życiu puszczając mimo uszu kazanie, którym mnie raczy.

Antonia Clarke Holt, moja mama, jest wściekła. Ma do tego pełne prawo. Znow zawałam. Kolejny raz ją zawiodłam.

– Przecież wiesz, że bez ukończenia wyższej szkoły w Castle Vale, a tym bardziej w Birmingham, nie masz szans na znalezienie dobrze płatnej pracy. Nie rozumiesz tego?

– Nie, to ty nie rozumiesz! – pokrzykuję, nie wytrzymując. Odpycham się od ściany. – Nie chcę studiować! Nie chcę spędzić reszty życia w Birmingham! To twoje plany, nie moje!

– Wystarczy... – ucina, pochylając głowę. Zaciska powieki i pociera rytmicznie skroń.

– Ja się tu duszę, mam! – przeciwstawiam się zaciekle. – Duszę, rozumiesz?! Chcę wyjechać do Worcester! Chcę pisać i wydawać powieści, a do tego nie jest mi potrzebny żaden dyplom!

Niechętnie na mnie spogląda. Potrząsa wolno głową, nieoczekiwanie rozciągając wydatne wargi w sarkastycznym uśmiechu.

– Myślisz, że tym skrobaniem dla zabawy w zeszycie zdołasz zarobić na chleb? – stawia pytanie, nie kryjąc kąśliwości. Kpina w jej głosie za każdym razem boli tak samo. Nieopisanie.

Jej drwina kruszy moje uczucia. Miażdży naszą relację i równa jest krzywdzie. Mama, szydząc ze mnie, pragnie dowieść, jak znaczną ma przewagę.

Robiąc coś takiego, pragniemy jedynie pokazać wyższość, lecz jeśli pokrzywdzony jest pewny swoich zalet i wad, ma również wysokie poczucie wartości i nie lęka się szykan.

Pewność siebie to doświadczenie akceptacji i miłości, których nie zasmakowałam. Świat brutalnie odebrał mi radość i dzieciństwo. Skazał mnie na trwanie w osamotnieniu. Bez pewności siebie załamał się fundament mojego życia. Zaczęłam się rozsypywać.

Przełykam ślinę, starając się przepchnąć ciężącą w przełyku gulę. Usiłuję wyzbyć się zawodu zaciskającego ogromne, lepkie łapska na mojej szyi.

– Dlaczego nie? – wyduszam przez ściśnięte gardło. – Jeśli powieść okaże się dobra...

– Jeśli się taka okaże – wtrąca, nie pozwalając mi dokończyć. – A w to trzeba włożyć dużo ciężkiej pracy, co niestety tobie, jak widać, przychodzi z ogromnym trudem – stwierdza już nieco spokojniej. Sięga po ścierkę i nieśpiesznie zgarnia nią okruszki chleba ze stołu.

– Skąd możesz to wiedzieć? Jak możesz oceniać moje umiejętności, skoro nigdy nie przeczytałaś ani jednego zdania, które napisałam? – ciągnę ją za język. W moim głosie dźwięczy przerażająca nuta żalu. Zaciskam dotkliwie usta, nie chcąc pokazać, jak bardzo dotknęła mnie ta uwaga.

– A widzisz, że bym miała na to czas? – Rozkłada szeroko ręce i rozgląda się po kuchni. – Bo ja nie.

– Nigdy go dla mnie nie masz – wytykam nieco głośniejszym szeptem. – Przeczytanie jednego zdania nie zajęłoby ci nawet minuty. Nie możesz poświęcić mi choć tyle?

– Poświęciłam ci niemal połowę swojego życia, Cadence. – Teraz to ona czyni mi wymówki, zgrabnie odbijając piłeczkę. – Spędziłam połowę swojego życia na... – Urywa, gdy nieoczekiwanie po mieszkaniu rozchodzi się donośny odgłos dzwonka do drzwi.

Jeszcze przez krótką chwilę świdruje mnie rozniewanym spojrzeniem. Przygląda mi się w taki sposób, w jaki zwykła to robić w stosunku do nieznanym. Z jawną wrogością. Wkrótce potem rzuca ścierkę na blat kuchenny i z ociąganiem opuszcza pomieszczenie w akompaniamencie wrzasków biegających po salonie bliźniaków.

Bezsilna opadam ciężko na krzesło. Przyciskam tył głowy do ściany, przysmykam powieki i wypuszczam głośno powietrze przez usta. Staram się nieco opanować nieustający, przeszywający do głębi zawód. Zanim jednak do tego dojdzie, duszne powietrze w kuchni przecina woń wody kolońskiej i ostry stukot podeszw męskich pantofli. Otwieram niechętnie oczy i spoglądam wprost na przechodzącą obok mamę.

– Zresztą, sam zobacz – zwraca się z prośbą, wskazując dłonią w stronę stołu.

Za jej pleców wylania się Simon Clarke. Mój ojciec, który nie marnując czasu na powitanie, podchodzi do mebla i podrywa z niego świadectwo

szkolne. Ta nieoczekiwana wizyta wprowadza mnie w konsternację. Niepokojnie poprawiam się na krześle i wtórnie wsuwam kciuk w usta.

Przygryzając paznokcie, obserwuję z nadmierną uwagą mężczyznę. Przebiega pośpiesznie wzrokiem po moich ocenach końcowych. Z każdą kolejną przeczytaną linijką jego twarz wykrzywia się w nieprzyjemnym grymasie. Wąskie usta zaciskają się tak mocno, że aż bieleją.

– Sam widzisz, Simonie... – szepcze mama, przerywając panującą między nami nieznośną ciszę. – Ja już nie mam do niej siły. Po prostu nie mam... – utyskuje.

Przenoszę wzrok z niewyczekiwanego gościa w czarnym, perfekcyjnie dopasowanym do szczupłej sylwetki garniturze na mamę. Wygląda przy nim mizernie w swoim ulubionym, powyciąganym szarym dresie i z kasztanowymi włosami związanymi w niechlujnego koka na czubku głowy. Mama raz jeszcze się pochyla i pociera skroń. Na jej twarzy kładzie się koszmarny cień zmęczenia – efekt ciężkiej pracy i zbyt małej ilości snu. Nierzadkie ciągnięcie podwójnych zmian i budzące się po kilka razy w nocy bliźniaki to jedno z wielu zmartwień, z jakimi przyszło jej się ostatnio zmagać. Przez chwilę targają mną okropne wyrzuty sumienia spowodowane własnym zachowaniem, z którym także musi się borykać.

– Co to ma być, Cadence? – syczy wzburzony ojciec, rzucając świadectwo na stół.

– Ocenę? – mamrocę z palcem w ustach.

– Nie pogrywaj sobie ze mną, dziewczyno! Doskonale wiesz, o co pytam – cedzi przez zęby, patrząc na mnie z góry. Stara się podsycić we mnie lęk. Nie wie jednak, że jego lodowate spojrzenie lazurowych oczu już od bardzo dawna nie wzbudza we mnie nawet krztyny strachu. Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek wzbudzało.

Choć jednak tak – gdy miałam zaledwie kilka lat i byłam małym, niczego nieświadomym dzieckiem. Kiedy byliśmy rodziną. Lecz teraz, po rozwodzie rodziców, ojciec jest dla mnie praktycznie obcym człowiekiem. Łączy nas niewiele. Pokrewieństwo, kolor oczu i nazwisko. Nic poza tym.

– Zapytałeś, a ja odpowiedziałam. W czym problem? – odszczekuję śmiało, poprawiając się na siedzeniu.

Śmieje się cicho. Paskudnie. Niemal drwiąco.

– W czym problem? – Z niespotykanym u niego w takich momentach opanowaniem przeczesuje ręką gęste, krótkie, czarne włosy przyprószone siwizną przy skroniach. – Pytasz, w czym problem, tak? – kontynuuje, opierając dłonie na tym samym krześle, na którym kilka minut temu mama zaciskała palce. – Może w tym, że twoim jedynym, cholernym obowiązkiem jest nauka, a nawet do tego nie potrafisz się porządnie przyłożyć? Przedzieram się w godzinach szczytu przez niemal połowę miasta tylko po to, żeby oglądać tak żalosne świadectwo?

– Przepraszam, że musiałeś poświęcić na mnie swój cenny czas...

– Licz się ze słowami! – ostrzega mama, celując we mnie palcem.

– Dlaczego? Dlaczego, skoro taka jest właśnie prawda?! – wyrzucam z siebie i gwałtownie się podnosząc, kieruję spojrzenie w jej stronę. – Nigdy go przy mnie nie było! Nigdy! Zawsze zajęty! Zawsze zapracowany! Zjawia się tu co jakiś czas i myśli, że ma prawo mnie oceniać?!

– Cadence, na Boga! – furczy mama, przykładając drżącą dłoń do klatki piersiowej.

– Owszem, mam do tego prawo. Jestem twoim ojcem – komunikuje, patrząc na mnie spod rzęs. – I dopóki jesteś na utrzymaniu moim i matki, będę brał udział w twoim wychowaniu.

Tym razem to z moich ust wyrывa się śmiech, czym zwracam na siebie uwagę ich obojga. Głośny. Niemal wariacki.

– Wychowaniu?! – Znów rechoczę, naciągając rękawy kardiganu. Skrywam pod nimi trzęsące dłonie. Nie chcę, by odkryli, jak bardzo porusza mnie ta wymiana zdań. – Mówiąc to, masz na myśli comiesięczne przelewy na konto bankowe mamy?

– Sam widzisz, Simonie... Ja już dłużej tego nie wytrzymam. Nie wiem, co się z nią stało... – Reaguje zrezygnowana mama. Obraca się na pięcie, podchodzi do szafek kuchennych i chwytając brzeg białego blatu, pochyła

głowę. Jej głośne westchnienie miesza się z odgłosem szaleni bijącego w mojej piersi serca.

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno? – magluje mnie ojciec, nie spuszczać wzroku z twarzy. – Wagarujesz. Nie uczysz się – zaczyna wyliczać – palisz papierosy. Włóczyz się po okolicy z szemranym towarzystwem, a teraz jeszcze te gówniane oceny. Nie wspomnę o wyniku egzaminu... Masz dopiero szesnaście lat, Cadence. Szesnaście lat, a już zaczynasz się staczać. Chcesz, żeby reszta twojego życia wyglądała tak, jak teraz? Co się z tobą, do cholery, dzieje?!

Już rozwieram wargi gotowa wyznać prawdę – powód, który od początku skłaniał mnie do takiego zachowania, ale nie zezwala mi na to ponownie zabierająca głos mama:

– Może powinniśmy raz jeszcze zapisać ją na sesje do doktora Goodmana?

Ojciec łypie na nią niechętnie przez ramię.

– Rozważałem to, Antonio.

– Nie jestem chora! – protestuję bezzwłocznie. Nie chcę wierzyć w to, co słyszę. – Nie potrzebuję psychologa! Nie pójdę na sesje! Nie zmusicie mnie do tego! – Zdzieram ze zgrozą gardło, mając w tym momencie gdzieś sąsiadów i bawiących się za ścianą braci. Liczy się tylko jedno. Doktor Goodman, który za namową rodziców znów zacznie grzebać mi w głowie.

– Uspokój się! – nakazuje mama, obracając się gwałtownie w moją stronę.

– Jeśli uznamy, że tak będzie dla ciebie najlepiej, wrócisz na tę cholerną terapię, czy ci się to podoba, czy nie! – decyduje ojciec.

– Nie pójdę!

– Dość! – ucina, uderzając pięścią w stół tak silnie, że aż się wzdrygam.

Garbię się, czując napływające do oczu zły. Mrugam pośpiesznie, za wszelką cenę starając się ich nie uronić. Łzy to dowód słabości, a ja nie mogę sobie na nią pozwolić. Nie teraz.

– Koniec tematu! Nie mam ochoty wdawać się z tobą w dyskusję, dziewczyno!

– Mamo... – mamroczę przez ściśnięte gardło, posyłając jej błagalne spojrzenie. Niemą prośbę o wsparcie, jakiego, naturalnie, nie otrzymuję.

To było do przewidzenia. Choć tego właśnie się spodziewałam, tliła się we mnie nadzieja, że jednak tym razem stanie po mojej stronie. Myliłam się. Myliłam. Nie pierwszy już raz...

– Robimy to dla twojego dobra, Cadence...

– Nienawidzę was – wykrztuszam chrapliwie. – Nienawidzę... – Nie czekając na reakcję, zrywam się z miejsca.

Nieudolnie wycieram rękawem swetra ciurkiem spływające po policzkach łzy i wbiegam do salonu. Mijam niereagujących, o dziwo, na krzyki chłopców, wpadam do swojego pokoju i z całej siły zatrzaskuję za sobą drzwi.

Rzucam się na niezaścielone łóżko ze spazmatycznym płaczem, którego nie jestem w stanie powstrzymać. Wciskam twarz w poduszkę, dając upust emocjom. Robię to, co zawsze, gdy sobie z czymś nie radzę. Ronię łzy, skrycie wierząc, że płacz bywa oczyszczający. Prawda jest jednak bardziej brutalna. Płaczę, ponieważ tylko tyle mogę zrobić. Nie stać mnie na nic więcej. Na nic więcej...



## Rozdział 2

*Wiele trzeba mocy, by umieć żyć, wiedząc,  
jak bardzo życie i niesprawiedliwość są z sobą związane.*

Fryderyk Nietzsche

Nic nie jest w stanie tak bardzo oddalić od siebie ludzi, jak brak zrozumienia. Bez zrozumienia, poczucia bezpieczeństwa i akceptacji stajemy się niewidzialni. Z czasem nawet zapomniani. Nikt nie dostrzega naszego cierpienia, nie zauważa łez i prawdziwego ich źródła. Przeradzamy się w kolejny powód do zmartwień. Bunt, który powinien zostać interpretowany jako wołanie o pomoc, przeistacza się w demonstrację negatywnych cech. Cech nierzadko niesłusznie nam przypisywanych. Bunt – krótkie, błahe słowo niosące ze sobą ból i nieustającą walkę. Najcięższą, jaką podejmuję każdego dnia. Nierówną walkę z codziennością. Niejednokrotnie z samą sobą.

Pociągam nieelegancko nosem, a wkrótce potem wciskam twarz w poduszkę, gdy ktoś szarpie za klamkę. Nim usłyszę cichusienki tupot dziecięcych bosych stópek, już wiem, że to bliźniaki, a właściwie Leo. Tylko on z tej pełnej temperamentu dwójki na chwilę obecną zdołał opanować otwieranie drzwi.

– Caś. – Przesycone bezsilnością pomieszczenie przecina słaby, a jednocześnie pełen stanowczości głosik.

Nie reaguję. Celowo.

– Caś!

W moje uszy wdzierają się postękiwania Leo towarzyszące mu podczas nieporadnego wdrapywania się na łóżko. Pośpiesznie odsuwam poduszkę

od buzi i ścieram rękawem kardiganu łzy z policzków. Pomimo przerażającego przygnębienia uśmiecham się pod nosem, zręcznie naciągając kołdrę na głowę.

– Caś!

– Buuu! – wykrzykuję, odrzucając gwałtownie okrycie na bok. Chwytam zaskoczonego Leo pod pachy i w akompaniamencie pisków ekscytacji unoszę go, a wkrótce potem opadam na plecy. – Mam cię, potworku! – Śmieję się, podrzucając go kilkakrotnie.

Do zabawy, zachęcony rechotaniem bliźniaka, dołącza Victor. Po chwili obaj po mnie skaczą. Kaskada niepohamowanego śmiechu otula rozpacz wypełniającą przestrzeń.

– A co wy tu robicie, paskudy? – zwracam się z pytaniem, gdy wyczerpani wygłupami składają głowy na moim brzuchu.

W ramach odpowiedzi Victor bełkocze coś pod nosem w sobie tylko znanym języku. Unosi rączkę, prezentując czerwony drewniany klocek przyniesiony z salonu. Wkrótce potem wymachuje nim przed nosem brata, a ten z kolei stara się odebrać mu zabawkę ścisną kurczowo w paluszkach, w efekcie czego między nimi dochodzi do sprzeczki.

– Hola, hola, panowie! – wtrącam się i rozdzielam ich, gdy powietrze przed moim nosem zaczynają przecinać drobne piąstki. Chwytam braci, zsuwam ich z siebie i siadam. – Co ja mówiłam o bijatykach? – dopytuję, celując palcem w każdego z chłopców po kolei. Mrużę oczy. Wyginam wydatne usta w teatralnym grymasie niezadowolenia i przenoszę wzrok z jednej pyzatej buzi na drugą. Z przesadną uwagą obserwuję ich reakcje.

Zapada cisza. Długa. Przenikliwa. Dwie pary dużych, brązowych oczu wpatrują się we mnie czujnie. Bez mrugnienia. Jednak po krótkiej chwili buntownicza natura Victora zwycięża.

– Nie! – piszczy przenikliwie. Wyginając wąskie, drżące usteczka w podkówkę, bierze zamach i zanim zdołam zareagować, ciska klockiem przez pokój. Zalewa się łzami i zabiera do zejścia z łóżka.

Powstrzymuję go w porę, chwytając za łokieć. Przyciągam go do siebie i zamykam w ramionach, nie mogąc znieść tego okropnego łkania.

Szamocze się. Buntuje, dotkliwie szarpiąc mnie za rozpuszczone włosy. Finalnie jednak kapituluje, wczepia się we mnie i chowa twarzyczkę w czarny T-shirt. Leo, nieznoszący płaczu brata, standardowo również zaczyna lkać. Ostatecznie obaj, pochlipując cicho, trafiają na moje kolana.

Wzdycham przeciągle, opierając tył głowy o metalowe wezgielce łóżka. Kieruję wzrok na dwie małe, drżące główki o gęstych, złocistych puklach. Kładę na nich dłonie. Gładząc je delikatnie, zaczynam nucić pod nosem słowa utworu *Baby Shark*, jednej z piosenek, na punkcie której chłopcy mają bzika.

Po kilku minutach i trzykrotnym odśpiewaniu utworu bliźniaki odzyskują równowagę ducha. Oddychając miarowo, wciskają zadarte noski w moją klatkę piersiową. Pogrążają się we śnie, zaciskając paluszki na grubych połach kardiganu.

Rozwieram wargi w delikatnym uśmiechu i składam subtelny, pełen czułości pocałunek na czubku głowy każdego z nich.

Chłopcy są moim przyrodnym rodzeństwem. Łączy nas wspólna mama, a dzieli kolosalna różnica wieku. Dość często ulegam ich szantażom, co nieustannie wykorzystują. Nie potępiam ich za to. Jak mogłabym karać za uczucia tak niewinne istoty? Jak można ukarać za uczucia kogoś, kto dopiero się ich uczy? Pragnę nieść im pomoc, nie osądzać. Powinnam wspierać braci. Moje ramiona winny przynosić im ukojenie. Pragnę dać im wszystko to, czego sama nie doświadczyłam. Ofiarować miłość, której nie zaznałam.

Druga ciąża mamy była nieplanowana. Zaskoczyła nas wszystkich. Mnie, mamę i Olivera Holta, jej obecnego męża. Miałam wtedy niecałe czternaście lat. Dwa i pół roku wcześniej moi rodzice się rozwiedli, a ja w dalszym ciągu nie radziłam sobie z odrzuceniem. Po rozwodzie zmieniło się niemal wszystko. Miejsce zamieszkania, standard życia, szkoła. Nie byłam w stanie zrozumieć, jak do tego doszło, że nasza rodzina tak nagle uległa rozpadowi. Co zrobiłam nie tak? Może nieświadomie dopuściłam się czegoś okrutnego? Czegoś tak strasznego, przez co ojciec postanowił zupełnie odsunąć mnie od siebie.

Nie radowała mnie myśl o posiadaniu rodzeństwa. Nie umiałam się cieszyć z tej nowiny tak, jak tego ode mnie oczekiwano. Byłam wtedy jedynie złęcznionym, zbłąkanym dzieckiem zabiegającym o odrobinę uwagi, którą od zawsze dawkowano mi w skąpych ilościach.

Pewnego dnia właśnie to dziecko dowiedziało się, że nie będzie już samo. Uzmysłowało sobie, że konieczne stanie się dzielenie mamą. Rodzicem, któremu wtedy zaczynało ufać na nowo.

Przyszło mi to zaakceptować. Wbrew woli. Wedle oczekiwań. Ułamek okazywanego mi wtedy przez mamę zainteresowania został uszczuplony jeszcze bardziej. Po niekrótkim czasie, podobnie jak ojciec, zupełnie odstawiała mnie na bok. Przestała dostrzegać. Stałam się dla niej niewidzialna.

Zanim chłopcy pojawili się na świecie, nienawidziłam ich. Nienawidziłam z całego serca. Obecnie nie wyobrażam sobie bez nich życia. Dla tych małych potworków jestem w stanie zrobić wszystko. Wszystko. Bez nich mój świat byłby do końca pozbawiony barw. To oni sprawiają, że mimo przygnębienia na moich ustach każdego dnia pojawia się uśmiech. To dzięki nim jeszcze odnajduję w sobie siłę, by wstać rano z łóżka. Nie ulega wątpliwości, że są jedynymi osobami, dla których cokolwiek znaczę.

Przełykam ciężko ślinę i mrugając kilkakrotnie, rozganiem na nowo wzbierające pod opuchniętymi powiekami łzy. Ostrożnie odkładam na łóżko spokojnie śpiących chłopców i starając się ich nie zbudzić, schodzę z niego. Nakrywam kocem krągłe ciała w niebieskich komplecikach dresowych. Jeszcze przez chwilę napawam się rozkosznym widokiem śpiących braci, a następnie, czując przeraźliwe ssanie w żołądku, decyduję się wrócić do kuchni. Opuszczam pokój z nadzieją, że nie zastanę tam żadnego z rodziców. Niestety, rzeczywistość po raz kolejny postanawia przygnieść mnie do ziemi.

– Wejdz – odzywa się ze spokojem mama, gdy przystaję gwałtownie w drzwiach. Siedzi przy stole obok ojca, dzierżąc w dłoniach ulubiony, błękitny kubek.

Zapach świeżo parzonej kawy wdziera się agresywnie w moje nozdrza i pobudza kubki smakowe, w efekcie czego coraz silniej burczy mi

w brzuchu. Nie ruszając się z miejsca, obserwuję, jak podnosi naczynie. Rozdmuchuje unoszące się nad nim wstążki pary, a następnie upija odrobinę gorącego napoju.

Przenoszę wzrok na ojca, który sunie palcem po wyświetlaczu smartfona, ignorując otoczenie. Pośpiesznie wystukuje wiadomość. Jestem pewna, że pisze do Elie, swojej drugiej żony. Snuje nieprzyjemną opowieść o wyrodnej dziewczynie, która znów nie spełniła jego oczekiwań. Żali się, że przejechał połowę miasta tylko po to, żeby zobaczyć tak marne świadectwo. Żałuje, że nie spędził tego popołudnia z nią i ich roczną córeczką. Zapewne przeprosza i obiecuje, że w zamian wybiorą się gdzieś wspólnie podczas zbliżającego się weekendu.

Jego przedłużająca się obecność wzbudza we mnie konsternację. Zwykł ograniczać wizyty do kilku minut. Odwiedza nas tylko wtedy, kiedy zawalę. Raz w miesiącu. Czasem raz na kilka miesięcy. Pojawia się, wyraża niezadowolony i znika. Nie potrafię przypomnieć sobie, kiedy spędziłam w towarzystwie ojca choćby godzinę. Bez wysłuchiwanie kazań i krytyki. Już jako mała dziewczynka przestałam zabiegać o jego względy. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek rozmawiałam z nim w taki sposób, w jaki dziecko zwykle gawędzi z rodzicem. Nasze konwersacje opierają się na krzyku. Nie jestem córeczką tatusia. Nigdy nią nie byłam. Rzeczywistość udowodniła mi, że nie mam ojca. Dla Simona Clarke'a mogłabym nie istnieć.

Nie pamięta o moich urodzinach. Nigdy nie złożył mi życzeń. Nie podarował prezentu. Nie odwiedza mnie w święta. Nie zaprasza do siebie. Nie dostrzega sukcesów. Starań. Simon Clarke mnie porzucił. Porzucił jeszcze przed założeniem nowej rodziny, a teraz dodatkowo zastąpił kimś innym. Kimś, kto, mam nadzieję, w przyszłości spełni jego wymagania.

– Usiądź – prosi mama, odstawiając kubek. – Musimy porozmawiać – dodaje, nie patrząc na mnie.

Nie mając sił na kolejną awanturę i nie chcąc zbudzić bliźniaków krzykami, naciągam rękawy kardiganu aż po knykcie i opadam ciężko na jedyne wolne krzesło obok ojca, nawet na chwilę nieodrywającego wzroku od ekranu telefonu.

Czuję narastającą panikę. Nie wiem, czego tym razem mogę się spodziewać. Nie chcę wracać na sesje do doktora Goodmana. Nie chcę, żeby mieszał mi w głowie i wyciągał na wierzch to, do czego wolałabym już nie wracać. Po spotkaniach z nim za każdym razem czuję się fatalnie. Wręcz odwrotnie, niż obiecywał. Nie jestem chora, problem nie tkwi we mnie, lecz w ludziach, których właśnie w tym momencie mam obok. Dobrze jednak wiem, że jeśli rodzice się uprą, nie pozostanie mi nic innego, jak pogodzenie się z ich decyzją i powrót na szary szeszlonyg terapeuty.

– Zdecydowałam – zaczyna mama. W jej głosie wyczuwam nutkę niepewności, co mnie zaskakuje. – Zdecydowaliśmy... – poprawia się, łypiąc na ojca w dalszym ciągu pochłoniętego pisaniem. – Nie jesteśmy już dłużej w stanie tolerować twojego zachowania, Cadence – wydusza z siebie w końcu. – Sprawiasz coraz więcej problemów. Dłużej już tego nie zniosę – wyznaje, podnosząc na mnie wzrok. Łapię jej zrezygnowane spojrzenie, czując gulę narastającą w gardle. – Dlatego zdecydowaliśmy...

– Zdecydowaliśmy, że spędzisz miesiąc w Honeze<sup>1</sup> – dokańcza za nią z opanowaniem ojciec.

Otwieram szeroko oczy i wstrzymuję gwałtownie powietrze. Nie wierzę w to, co właśnie usłyszałam. Nie chcę w to wierzyć!

Ojciec blokuje telefon i wsuwając go w przednią kieszeń garniturowych spodni, dodaje:

– Może jeśli spędzisz wakacje na wsi u dziadków, z daleka od toksycznych znajomych i Birmingham, zrozumiesz, gdzie popełniasz błąd. Zrozumiesz, jak wiele rzeczy nie doceniasz.

– Chcecie mnie wysłać w obce miejsce? Do Honeze? – pytam rozemocjonowana. Zaciskam drżące dłonie na brzegu stołu i pochylam się ku ojcu. – Chcecie mnie wysłać do Francji?

– Właściwie decyzja o twoim wyjeździe zapadła już dawno temu – ciągnie, patrząc na mnie beznamiętnie. – Wylatujesz w sobotę rano.

---

1 Honeze – fikcyjna wieś mieszcząca się na południu Francji, niedaleko Cerbère.

– Za dwa dni? – Spanikowana przenoszę wzrok z ojca na mamę. – Mamo, to prawda? – upewniam się, że to, co padło przed chwilą, nie jest jakimś kiepskim żartem z jego strony.

– Tak – szepcze, obejmując mocniej kubek.

– Przecież ja nawet nie znam tych dziadków. Ja nawet nie znam tych ludzi – zaczynam panikować. – Pozwolisz mu mnie tam wysłać? W miejsce, którego sama nie chcesz odwiedzać? – zasypuję ją pytaniami. – Proszę, nie pozwól na to. Mamo, proszę! – błagam przerażona.

Wstaje gwałtownie od stołu i podchodzi do zlewu, w dalszym ciągu przepełnionego brudnymi naczyniami. Staje do mnie plecami i opiera dłonie na kuchennym blacie. Wzdycha przeciągle, opuszczając głowę.

– Decyzja zapadła – powtarza słowa ojca.

Nie potrafiąc opanować boleśnie przesywającego do głębi niepokoju, zrywam się raptownie z miejsca i podbiegam do niej.

– Mamo, proszę! – podnoszę głos, zaciskając palce wokół jej łokcia, na co się krzywi. – Proszę, nie pozwól na to! Odbierz mi telefon! Daj szlaban na wyjścia z domu! Z pokoju! Cokolwiek! Cokolwiek, tylko nie wysyłaj mnie tam, błagam! Błagam! – Mimowolnie zalewam się łzami, wpadając przy tym w histerię.

Wyszarpuje się z mojego uścisku i wraca do stołu. Wiodę za nią wzrokiem, odczuwając znajome, przeraźliwe drżenie całego ciała.

– Robimy to dla twojego dobra, Cadence... – mamrocze, nie patrząc na mnie.

– Odwiozę cię w sobotę na lotnisko – oświadcza ojciec, wstając. – Zadzwoń w piątek wieczorem.

Ignoruję go i nie spuszczam wzroku z pleców mamy. Pragnę do niej podbiec, ale nie mogę. Sparaliżowało mnie. Czuję się tak, jakbym wrosła w podłogę. Po raz kolejny jestem bezsilna...

– Do tego czasu się spakuj i doprowadź do porządku – nakazuje, podążając w stronę wyjścia.

– M-a-a-mo! – zaczynam się jękać. Wdycham gwałtownie powietrze, przecierając rękawem oczy zamglone od łez. Łkam przeraźliwie, jak

kilkuletnie dziecko niepotrafiące poradzić sobie w żaden inny sposób z zaistniałą sytuacją.

– To najlepsze wyjście – rzuca ojciec, po czym opuszcza kuchnię, a zaraz potem mieszkanie.

Mama wychodzi dosłownie kilka sekund po nim, gdy tylko po wewnątrz rozchodzi się przenikliwy płacz bliźniaków zbudzonych krzykami.

Niespodziewanie opadam z sił. Osuwam się po szafkach kuchennych na kafle. Podkurczam kolana pod brodę, chowam między nie głowę, a tę nakrywam dłońmi.

Wczepiam palce we włosy i szarpnię za nie mocno, kolejny raz odczuwając przykry posmak goryczy. Posmak porażki. Doskonale wiem, że w takich sytuacjach nie mam na kogo liczyć. Nikt mi nie pomoże.

Odsyłają mnie. Kolejny raz skazują na samotność. Pozbywają się mnie w okrutny, niegodziwy sposób, jak nic nieznaczącego przedmiotu. Właśnie tym dla nich jestem. Niepotrzebnym przedmiotem. Problemem, który musi zniknąć. Przynajmniej na jakiś czas.



## Rozdział 3

*Nieszczęśliwy człowiek ratuje się nadzieją.*

Menander

– Nic tym nie wskórasz, przecież wiesz.

– Wiem, ale zawsze trzeba mieć nadzieję... – mamroczę w gruby rękaw czarnej bluzy, nie spuszczać wzroku z bliźniaków biorących wieczorną kąpiel. Z ich maleńkich paluszków energicznie rozmazujących różową pianę po białych ściankach narożnej wanny.

Oliver Holt kiwa głową.

– Tak, masz rację – przyznaje otwarcie, niedbale podwijając do łokci rękawy błękitnej koszuli w czarną, drobną kratkę. – Sam ci to często powtarzam, ale wiesz, jak jest z mamą. Jeśli się uprze, nawet ja nie będę w stanie przekonać jej do zmiany zdania – nadmienia. Wkrótce potem uśmiecha się z czułością do Leo, hałaśliwie domagającego się czerwonej, plastikowej łódki zagubionej przed kilkoma sekundami pod sporą ilością piany.

Oliver kuca na niewielkim dywaniku łazienkowym, zanurza rękę w wodzie i spod jej powierzchni wyciąga statek. Podaje go zadowolonemu synowi.

– Wiem... – dukam i impulsywnie przygryzając paznokieć, wiercę się na zamkniętej klapie sedesu. – Ale porozmawiasz z nią, tak?

– Tak – potwierdza, łypiąc na mnie przez ramię. Wstaje nieśpiesznie, przytrzymując się brzegu wanny. – Przynajmniej się postaram.

Doskonale wiem, jak potoczy się ta rozmowa. Mam świadomość, że mama nie zmieni zdania, a ja kolejny raz zostanę zmuszona do pogodzenia się z decyzją podjętą przez rodziców. Będę musiała wyjechać.

Mimo wszystko jestem ogromnie wdzięczna ojczymowi za pomoc. Za chęć jej niesienia.

– Dzięki – mówię cicho.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, Cadence. – Wyciera mokre dłonie w zielony, puchaty ręcznik. Jego kwadratową twarz o prostym nosie, szarych oczach, delikatnie zadartej brodzie porośniętej kilkudniowym zarostem i ustach o pełniejszej górnej wardze zdobi pocieszający uśmiech. – Zerkniesz na nich? Zajmę się kolacją.

– Jasne – zgadzam się z czystą przyjemnością. Bezwłocznie siadam po turecku na dywaniku, jak ojczym opuszcza łazienkę.

Ściągam bluzę, odrzucam ją na umywalkę i zachęcona do zabawy przez braci zanurzam ręce w wodzie. Napęlniamy kolorowe plastikowe kubeczki wodą, a tę z powrotem wylewamy do wanny. Powtarzam czynność w kółko i w kółko, pomimo podłego nastroju, radując się ze szczęścia chłopców.

Prawdą jest to, że choć nieczęsto korzystam z tej formy pomocy, zawsze mogę liczyć na wsparcie Olivera, nawet mimo że początkowo otwarcie wyrażałam niechęć w stosunku do niego. Utrudniałam mu życie od chwili naszego pierwszego spotkania. Drwiłam z niego, odkąd zamieszkaliśmy razem. Obrzucałam obelgami. Upokarzałam. Niezależnie od stopnia przykrości – nigdy mnie nie skarcił. Nie oceniał. Wręcz niejednokrotnie krył przed mamą, kiedy wracałam do domu zamoczona alkoholem albo przesiąknięta dymem tytoniowym. Oliver Holt właściwie przez większość czasu jest jakby nieobecny. Nie chodzi tu jedynie o nieobecność związaną z pracą, profesją dentystry, a o moje wychowanie. Już na samym początku, gdy tylko mama zaczęła się z nim spotykać, oświadczył, że nie będzie się w nie wtrącał. Uznał, że nie ma do tego prawa. Nie jest moim ojcem i nigdy nie będzie się starał go zastąpić.

Wielokrotnie, kiedy patrzę na braci i na to, jak wspinałym Oliver jest dla nich tata, przeokropnie żałuję, że nie jestem jego biologiczną córką. Zazdroszczę im tej cudownej więzi. Więzy dziecka z rodzicem. Uwagi, jaką, mimo okropnie ograniczonego czasu, poświęcają bliźniakom mama i ojczym. Obserwuję w ukryciu, jak wygłupiają się na dywanie. Z rozkoszą

wsluchuję się w cudowne dźwięki szczerych śmiechów. Łapczywie chłonę szczęście chłopców. Szczęście, którego nie doświadczyłam w ich wieku ani nigdy później.

Moi rodzice bywali w domu okazjonalnie. Pochłaniała ich kariera. Ojca własna kancelaria adwokacka, a mamę posada w agencji nieruchomości. Zajmowało ich konsekwentne pięcie się po szczeblach fachu. Wychowywały mnie opiekunki. Nierzadko matka ojca, Emily Clarke, zamieszkująca w Sutton Coldfield. Obecnie siedemdziesięcioczeroletnia kobieta, która nie zasługuje na miano babci. Bestia w ludzkiej skórze, maltretująca mnie i znęcająca się nade mną psychicznie przez wiele długich lat. Bez powodu. Wedle kaprysu. Niezmiernie się cieszę, że po rozwodzie rodziców nasz kontakt się urwał.

Miałam wszystko. Wspaniały pokój, kosztowne meble, zabawki i markowe ubrania. Chodziłam do prywatnych szkół. Posiadałam wiele, ale wystarczyło przyjrzeć mi się z bliska, by dostrzec, że w rzeczywistości prócz tych dóbr materialnych nie miałam niczego. Brakowało mi najważniejszego. Rodziców. Ich miłości.

Dziewczynki, z którymi bawiłam się na placach zabaw, pragnęły nowych lalek. Ja miałam ich tyle, że nie mieściły się na półkach. Fantazjowały o baśniach z kolorowymi ilustracjami. Ja posiadałam osobistą biblioteczkę. Marzyły o latawcu. Nocowaniu w namiocie. Nowej skakance. Ja chciałam tylko jednego – kilku godzin spędzonych w towarzystwie rodziców. Marzyłam o odrobinie uwagi.

Nie okazywano mi niewątpliwych czułości. Nie zachwalano. Nie nauczano, jak radzić sobie z emocjami. Nikt nie przychodził na moje przedstawienia szkolne. Nikt nie cieszył się z sukcesów. Jak każde dziecko byłam tylko pustym, kruchym naczyniem, które należało wypełniać uczuciami. Dawkowano mi je w skąpych ilościach. Pod publikę, z uznaniem, że to wystarczy. Nie wystarczyło, a odczucie pustki z biegiem czasu narastało coraz silniej. Od zawsze sama. Zmuszana do radzenia sobie w ekstremalnych okolicznościach. Od początku osvajana z samotnością, obecnie karana za czynienie z niej użytku.

– Caś! Caś!

Przejmujący pisk Leo i rozchlapująca się wokół woda wyrrywają mnie z zamyślenia i sprowadzają na ziemię. Do łazienki. Do niemal całkowicie zalanej łazienki.

– No nie! – Podrywam się na nogi i spanikowana wyciągam przed siebie ręce w tym samym momencie, w którym Victor robi zamach kubeczkiem wypełnionym wodą. – Nie! Nie, czekaj! – nakazuję i otwierając szeroko oczy, rzucam się w jego kierunku z zamiarem przechwycenia przedmiotu.

Niestety Victor jest sprytniejszy, w efekcie czego zawartość zabawki ląduje na mojej koszulce. Leo, zachęcony przez śmiech brata, idzie w jego kroki, robiąc dokładnie to samo.

Pokonana opuszczam ręce wzdłuż ciała. Wypuszczam głośno powietrze przez usta, kręcąc z niezadowoleniem głową.

– Mama, jak wróci z pracy, wszystkich nas zabije...

– A co tam się dzieje?! – woła z kuchni Oliver.

– Nic! Wszystko w porządku! Już wychodzimy! – odkrzykuję i podśmiechując się pod nosem, wyjmuję pośpiesznie chłopców z wanny.

Okrywam ich ręcznikami, sadzam na klapie sedesowej; dla odrobiny świętego spokoju wręczam szczoteczki do zębów i zabieram się za doprowadzenie pomieszczenia do porządku.

– Paskudy – mamrocze pod nosem, chwytając mop stojący za drzwiami. W ramach odpowiedzi pomieszczenie przecinają przyciszone dziecięce chichoty. – Wstrętne, paskudne paskudy... – powtarzam, czując drżące w rozbawieniu kąciki ust.



Podciągam kolana pod brodę i leniwie obejmuję je rękoma. Wbijam zmęczone spojrzenie w zbyt rozjaśniony ekran telewizora.

Jest już sporo po dziesiątej. Bliźniaki już dawno śpią, a ja siedzę w miękkim fotelu w salonie i oglądam tandetne babskie telenowełe, za którymi, w odróżnieniu od ojczyma, nie przepadam. Mimo niechęci do tego typu

bazdurnych programów postanowiłam zmienić wieczorny rytuał i posiedzieć z Oliverem. Porzuciłam przebywanie w ciemnym pokoju na rzecz odrobiny towarzystwa. Samotność dziś doskwiera mi wyjątkowo dotkliwie.

Choć nie przyznaliśmy tego otwarcie, doskonale wiemy, że obydwójce czekamy na powrót mamy z drugiej zmiany. Niegdyś była wziętą agentką nieruchomości, dziś podejmuje stanowisko kelnerki w restauracji Folium; uznała, że nie chce wracać do przeszłości. Stała się nieustannie zmęczoną życiem kobietą – tak samo jak jej obecny mąż – odkładając każdy dodatkowo zarobiony funt. Oszczędzają pieniądze, by za kilka lat, po spłacie kredytu zaciągniętego na zakup obecnego mieszkania, móc nabyć większy lokal. Może nawet dom. Mamie marzy się mały, biały domek na obrzeżach Birmingham, podobny do tego, który wynajmowałyśmy przez jakiś czas po jej rozwodzie z ojcem. Przed drugą ciążą, ślubem i zamieszkaniem z Oliverem. Po rozpadzie naszej rodziny nie tylko moje życie uległo zmianie. Myślę jednak, że ta zmiana wyszła mamie na dobre. Mimo sporej ilości zmartwień uśmiech na jej ustach gości częściej niż podczas poprzedniego małżeństwa.

– Ale z tej Scarlet franca – odzywa się ojczym, oburzony zachowaniem aktorki.

Potrząsa z odrazą głową, pośpiesznie wygrzebuje z niewielkiej paczki kilka Skittlesów. Sprawnie wrzuca cukierki do ust, zupełnie nie przejmując się cukrem mogącym uszkodzić szkliwo. To jego jedyne uzależnienie. Nie potrafi się obejść bez Skittlesów. Oliver Holt, który na co dzień naucza, jak prawidłowo dbać o uzębienie w każdym wieku, nałogowo pochłania słodycze. Ten mężczyzna pełen jest niespotykanych, nierzadko zabawnych zachowań.

– Chyba odwiedzę jutro Elie – wyrzucam z siebie szeptem. – Może ona będzie w stanie nakłonić ojca do zmiany zdania. Dużo o tym myślałam. Wydaje mi się, że ten wyjazd jest jego pomysłem, nie mamy – stwierdzam, obejmując silniej nogi.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – dopytuje i wsuwając dłoń do paczki z cukierkami, spogląda na mnie przez ramię. Jego oświetlony ciepłym

światłem ze znajdującej się między fotelem a kanapą papierowej lampy profil przecina cień zaskoczenia. – Wasze ostatnie spotkanie nie skończyło się najlepiej... – przypomina delikatnie o mojej niedawnej kłótni z macochą i ostrych słowach, które do mnie skierowała.

– Tak, jestem pewna – zapewniam z nieco słabszą nutą odwagi w głosie, niż bym chciała. – Z mamą różnie się nam układa, wiesz przecież, ale myślę, że ona nigdy nie wpadłaby na pomysł, żeby wysłać mnie do Honeze.

– Wiesz... – zaczyna niepewnie, przerzucając rękę przez oparcie kanapy. Podciąga zgiętą w kolanie lewą nogę pod pośladek i odwraca się w moją stronę. – Po tym, jak mi powiedziałaś, że rodzice wysyłają cię na miesiąc do Francji... – Nieoczekiwanie zawiesza głos. Momentalnie odwraca wzrok, przeczesując dłonią gęste blond pukle.

Wychwytyję niepokój wysączający się ze słów opuszczających w pośpiechu drżące wargi, pod którego wpływem spinają się jego mięśnie. Doskonale wiem, z jakiego powodu Oliverem miota poruszenie. Rozumiem, że nie czuje się komfortowo z zamiarem wyrażenia opinii. Boi się. Obawia się osądu.

Ludzie zwykli wydawać wobec siebie osądy, bez chęci poznania. Wystarczy jedno krótkie spojrzenie. Pojedyncze słowo, by wyrazić opinię. Bez żadnych przeszkód przychodzi człowiekowi głosić krytykę. Prościej jest to zrobić bez znajomości faktów. To takie powszechne. Zdecydowanie łatwiejsze niż poznanie osoby, którą nierzadko niesłusznie oceniliśmy. Niesprawiedliwy osąd zmienia nieodwracalnie. Dowodem tego jest Oliver, którego to ja w ten sposób osądziłam. Oliver, którego obwiniałam za rozpad swojej rodziny, warunki życia i odebranie mamy. Oliver, który przez moje zachowanie nie potrafi już swobodnie wyrażać własnego zdania. Nie jest w stanie wyzbyć się niepewności i strachu przed tym, jak zostanie odczytany. Przed tym, jak zostaną zinterpretowane jego słowa.

Przełykam ciężko ślinę, starając się przepchnąć gulę ciężącą w gardle. Paskudne nieukontentowanie spowodowane własnym zachowaniem. Choć na język cisną mi się słowa gorliwych przeprosin, nie umiem ich wymówić. Nie potrafię. Nie znam powodu swojej niemocy. Mogę w tym

momencie jedynie milczeć, skrycie wierząc, że ciszę tę odbierze jako skrucę. Milcząc, jednocześnie proszę, by dokończył rozpoczęte zdanie. Proszę, mimo wiedzy o tym, jak wiele go to kosztuje.

– Wiesz... – powtarza, ponownie kierując na mnie wzrok. Szare oczy nadal wyrażają drżące w ciele cierpienie. Ból po zadanych w przeszłości dojmujących ciosach. Mimo tego postanawia kontynuować: – Mnie również się wydaje, że to nie jest tak do końca tylko pomysł mamy. Nie licząc kartek wysyłanych na święta, urodziny i imieniny, Antonia praktycznie nie kontaktuje się ze swoimi rodzicami – przypomina, po raz kolejny na krótką chwilę uciekając spojrzeniem w bok. – Nie odwiedziła ich, odkąd opuściła Francję z Simonem. Może mama bywa surowa, ale ona nie jest złym człowiekiem, Cadence. – Wypowiadając te słowa, patrzy mi prosto w oczy. – Szczerzę wątpię, aby chciała wysłać cię w miejsce, w którym sama nie chce gościć.

– No właśnie – przytakuję, odzyskując głos. Pośpiesznie opuszczam bose stopy na miękkie, choć nieco już wysłużony, szary dywan.

– Ale wiesz... To tylko moje zdanie, a moje zdanie niewiele znaczy... – Wzdycha. Ciężko. Przygnębiająco. Dwa uderzenia serca później uśmiecha się lekko. Stara się w ten sposób załagodzić wiszące między nami nieznośne napięcie. Pośpiesznie wrzuca do ust kolejną porcję cukierków.

Coraz trudniej przychodzi mi tolerowanie nieustannie nękającego poczucia winy i obezwładniającego niepokoju. Nie powinnam tego znosić. Ani przez jeden dzień. Chwilę. Ani przez minutę więcej. Wypadałoby przeprosić, lecz nie potrafię. Po prostu nie potrafię. Nie jestem w stanie wymówić słowa, którego nikt mnie nie nauczył i którego znaczenia nie znam. Słowa nigdy do mnie nie skierowanego.

Przeprosiny wymagają odwagi. Znacznie większej niż wyrządzenie krzywdy. Ranią zwykle ludzie tchórzliwi. Najczęściej bliskie osoby. Powodem jest strach, skryty pod różnymi postaciami. Lęk zdolny jest wzbudzić w człowieku najpotężniejszą bestię. Najokrutniejszego potwora. Przeprosiny wymagają pokonania tego lęku. Nierzadko jednak już na starcie walce tej ciąży miano przegranej.

Zaciskam drżące ręce wokół brzucha i zupełnie pozbawiona sił spuszczam wzrok. Zawieszam go na bosych stopach, usilnie walcząc ze łzami wzbierającymi się pod powiekami, na które nie mogę sobie pozwolić.

– Oliver, ja... – Wydaję z siebie zduszony jęk bezsilności. Nie mam pojęcia, co właściwie chciałam powiedzieć. Jakich zastępczych słów miałabym użyć. Nie wiem, jak powinnam się w tym momencie zachować. – Ja... ja nie...

– Nie, Cadence – wtrąca z pełnymi ustami. Czuję na sobie jego spojrzenie; z nadmierną uwagą obserwuje moje rozbicie emocjonalne. – Nie ma sensu wracać do tego, co było. Musimy żyć tym, co jest tu i teraz – decyduje. – Jasne?

– Nie reaguję.

– Jasne?

Kiwam nieznacznie głową. Rękawem bawełnianej, czarnej bluzki ścieram pośpiesznie toczącą się po policzku słoń kąpiel z nadzieją, że pozostała niedostrzeżona. Nie pozostała. Zdradza to kolejne pytanie padające z ust ojczyzna:

– W porządku?

– Tak – konfabuluję, umiejętnie skrywając emocje za ciężką maską, trzymającą w ryzach to, co jeszcze ze mnie zostało. – Tak... – podtrzymuję. Biorę dyskretny, płytki wdech i zmieniam temat. Odciągam od siebie uwagę Olivera. – Mama nigdy nie rozmawiała ze mną na temat swoich rodziców. Nigdy o nich nie wspomina – podejmuję szeptem, w dalszym ciągu obejmując spojrzeniem własne stopy. – Nie wiem, w jakim są wieku. Jak mają na imię, jak wyglądają. Nie mamy w domu żadnej ich fotografii – utyskuje. – Nie widziałam ich ani razu. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia, dlaczego Antonia zdecydowała się zerwać częściowo kontakt z rodzicami i opuścić Honeze. Nie znam powodu, dla którego zabrania im kontaktu z tobą. Nigdy nie podejmowaliśmy tego tematu, bo mama tego nie chciała.

Znów kiwam głową.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że przyprawiam wam masę problemów – przyznaję otwarcie, zaskakując tym wyznaniem w takim samym stopniu siebie, jak i Olivera.

Pociągając rękawy bluzki do knykci, unoszę zamglony wzrok. Zawieszam go na wypełnionym zdjęciami bliźniaków fragmencie ściany, tuż nad niewielkim, płaskim telewizorem.

– Nie jest wam łatwo, wiem, ale czy to powód, żeby mnie odesłać? – pytam nieco ciszej od szeptu. Słyszę drżenie własnego głosu i czuję łzę spływającą po moich trzęsących się wargach.

– Nie, Cadence. Myślę... – Milknie, gdy niespodziewanie po mieszkaniu roznosi się odgłos przekręcanego zamka w drzwiach.

Przetykam gwałtownie ślinę. Naciągam jeszcze mocniej jeden z rękawów i pośpiesznie osuszam nim oczy w tym samym momencie, w którym mama wchodzi wolno do salonu. Pomieszczenie wypełnia zapach jedzenia i płynu dezynfekcyjnego.

– Głodni? – zwraca się do nas z pytaniem, wolno unosząc materiałową torbę dzierzoną w dłoni. Wygląda na zupełnie wyczerpaną. Doszczętnie wyzutą z sił. Jej piękne sarnie oczy pozbawione są blasku. – Pieczonego kurczaka?

– Nie, dziękuję – odpowiadam niemal natychmiast. – Jadłam niedawno kolację.

– Na pewno? – magluje mnie, podejrzliwie świdrując wzrokiem.

– Tak. Nie kłamię – zapewniam. Tym razem szczerze.

– Zjedliśmy wszyscy razem – potwierdza Oliver, flegmatycznie unosząc się z kanapy. – Ale ten kurczak pachnie tak pięknie, że ja chyba skuszę się na odrobinę – dodaje z promiennym uśmiechem i przejmując torbę, subtelnie muska ustami skroń mamy. – Zjesz ze mną? – pyta, a kiedy ona odmawia, udaje się do kuchni w celu rozpakowania zakupów. Wiodę za nim wzrokiem, dopóki nie opuszcza salonu.

– Chłopcy już śpią?

Kieruję uwagę na mamę opieszale przysiadającą na krawędzi kanapy. Tyłem do mnie.

– Tak. Mamo? – zaczynam niepewnie.  
– Hm? – mruczy, wciskając plecy w oparcie kanapy. Rozmasowuje kark.  
– Możemy porozmawiać o moim wyjeździe? Na spokojnie. Bez krzyków.

– Jestem zmęczona, Cadence. Poza tym wszystko już zostało powiedziane. W sobotę wylatujesz na miesiąc do Francji.

– Ale, mamo, ja...

– Nie chcę już nic więcej słyszeć na ten temat – wtrąca, kładąc kres niewygodnej konwersacji.

Rozwieram usta w sprzeczanie, ze szczerym zamiarem wyrażenia niezadowolenia, lecz gdy tylko to robię, ponownie tracę głos. Tracę resztki odwagi, jakie jeszcze we mnie pozostały.

Kapituluję. Znów. Poddaję się, nie widząc sensu w dalszym ubłaganiu. Choć dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewałam, tliła się we mnie ta wstrętna iskra nadziei, że może jednak tym razem będzie inaczej. Przez krótką chwilę wierzyłam, że uda mi się odwieść mamę od pomysłu z wakacjami w Honeze. Myliłam się. Nie pierwszy już raz.

– Idę do siebie – decyduję półgłosem, ostatecznie nie znajdując więcej powodów do przebywania w jej towarzystwie. Choćby jednego, dla którego ona chciałaby, abym posiedziała obok. – Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiada, nie patrząc na mnie, i sięga po pilot leżący na niewielkim metalowym stoliku.

Wychodzę z salonu, czując bolesne ukłucie niepowodzenia w piersi. Osamotniona mimo niedawnego towarzystwa.

Ociężałam przechodząc przez krótki, wąski korytarz. Na palcach mijam pokój bliźniaków. Pcham lekko diabelnie skrzypiące drewniane skrzydło i wchodzę do siebie. Staram się zamknąć za sobą drzwi najciszej, jak to możliwe, a następnie kieruję się w stronę uchylonego okna. Po ciemku. Instynktownie podchodzę do ustawionego pod nim biurka. Przysiadam na brzegu wysłużonego krzesła obrotowego i zanim sięgnę do włącznika lampki stojącej na blacie, spoglądam przez przybrudzoną szybę na miasto. Na Castle Vale pograżone w atramentowym mroku nocy.

Przez krótką chwilę podziwiam rozgwieżdżone niebo i różnokolorowe punkciki skrywające się w rozłożystych koronach wieloletnich buków. W ciepłym świetle stojącej nieopodal latarni dostrzegam ruch liści. Płynny. Niezwykły. Lekki wiatr porusza listowiem, wywołując cichy szelest. Szelest ten tłumią odgłosy tętniącego nocnym życiem miasta.

Przymykam powieki i biorę głęboki wdech. W moje płuca wraz z dawką świeżego powietrza wdziera się namiastka tak silnie w tym momencie pożądanego spokoju. Ulgi. Dwa kolejne wdechy zduszają negatywne emocje. Spychają cierpienie w najciemniejsze zakamarki duszy. Oczyszczają. Niosą chwilowe wytchnienie.

Tkwią w takiej pozycji jeszcze przez jakiś czas, po czym zapalam lampkę i wyjmuję z szuflady notes. Wciskam zgiętą w kolanie lewą nogę pod pośladek i opieram kajet na udzie. Muskam drżącymi opuszkami wierzch twardej, błękitnej oprawy, rozmyślając o wydarzeniach minionego dnia, o słowach, które padły z ust moich rodziców.

Przywołując w pamięci gniew mamy i zniesmaczenie ojca na widok moich ocen końcowych, zerkam w stronę leżącego przy lampce wymiętego świadectwa szkolnego. Skupieni na rozczarowaniu nie dostrzegli zadowolających stopni z języka angielskiego i francuskiego. Moje drobne powodzenia nie mają dla nich znaczenia. Liczy się tylko to, że nie spełniłam oczekiwań. Powinnam być doskonała. Pod każdym względem. Zawsze. W moim życiu uchybienia nie powinny mieć miejsca. Nie powinny, a jednak mają.

Rodzice wymagają, bym była ideałem, zapominając, że sami nimi nie są. Może byłabym taka, gdyby podarowali mi odrobinę bliskości, gdyby pokazali, co to znaczy kochać. Prawdziwie. Bezgranicznie. Dziecko to kokarda spleciona z najsilniejszych wstęg duszy matki i ojca. Lecz trzeba pamiętać, że nawet najwspanialszy materiał, raz szarpnięty, nie jest w stanie całkowicie powrócić do pierwotnej formy. Im większej poddawać go będziemy próbie, tym trudniej przyjdzie mu łączyć ze sobą nici. Tym ciężiej będzie mu utrzymać w ryzach całość.

Wzdycham cicho, otwierając notes. Przerzucam kilka stron i zawieszam spojrzenie na ostatniej zapisanej kartce. Z uwagą przebiegam palcami po

pochyłych, bładniebieskich literach umiejscowionych między wąskimi liniami. Sunę opuszkami po słowach, które spisałam wczoraj...

*26 lipca 2020*

*Choć codziennie wydaję z siebie rozdzierający krzyk, nikt mnie nie słyszy.*

*Choć codziennie gorące łzy ściekają po moich policzkach, nikt ich nie dostrzega.*

*Jestem cieniem. Opuszczonym człowiekiem. Umęczonym dzieckiem, którego nikt nie chce dźwignąć z poranionych kolan.*